



WIECZORY RODZINNE



POMNIK ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE.

DAWNI NASI MALARZE.

(Dalszy ciąg)

Mieliśmy także znanego za granicą malarza Tadeusza Konicza, zwanego również Konicem, Kończą, a przez Niemców Kuntze. Był on rodem z Krakowa, pochodził z gminu jak to nawet odmiany jego nazwiska wskazują; posługiwał przy kuchni Andrzeja Załuskiego biskupa krakowskiego, który spostrzegłszy w nim zdolności do rysunku, oddał go najprzód do szkół a potem wysłał do Rzymu na naukę malarstwa w którym się kształcił u słynnego wówczas Karola Maratti, mistrza również Szymona Czechowicza.

Konicz, wróciwszy do Krakowa, malował obrazy religijne. W połowie XVIII wieku wyjechał znowu do Rzymu a zamtąd wezwany na dwór króla hiszpańskiego, pozostał już w Hiszpanii i umarł tam w bardzo późnym wieku. Wezwane to świadczy, że musiał być niepospolitym artystą, bo Hiszpania—ojczyzna Murilla i Velasqueza, stała w owej epoce wysoko pod względem sztuki.

Wszyscy więc nasi artyści, o ile byli znakomici, pozostawali za granicą, gdzie znajdowali uznanie. Pierwszym, który pracował w kraju i dla kraju, bo starał się w nim szerzyć zamiłowanie i znajomość sztuki był Czechowicz. Urodzony w Krakowie r. 1689 znalazł zanego opiekuna, w osobie Ossolińskiego, który go wysłał do Rzymu. Trzydzieści lat przebył Czechowicz we Włoszech, przejął się zupełnie sposobem malowania i kolorytem swego mistrza Karola Maratti. Po powrocie do Polski osiadł w Warszawie i w domu własnym otworzył bezpłatną szkołę malarstwa. Sztuka zastępowała mu rodzinę, której nie miał nigdy i jej też poświęcił się cały. Pod koniec życia, które było bardzo długie, gdyż umarł dopiero w r. 1775, wstąpił do zakonu księży Kapucynów w Warszawie, jako tereciarz i tam życie zakończył.

Zostawił mnóstwo obrazów religijnych, kilka z nich jest na obecnej wystawie. Wszystkie odznaczały się jasnym układem kompozycji, dobrym rysunkiem i pięknym kolorytem.

Następcą jego był bliższy nam epoką Franciszek Smuglewicz, ur. w Warszawie r. 1745. Był on synem malarza, który nie zaznaczył się w dziejach sztuki, ale był przynajmniej pierwszym nauczycielem syna i poznał się na jego zdolnościach. Kształcił go Czechowicz, z którego siostrzenicą później się ożenił. Głównie też za sprawą tego prawdziwego artysty i miłośnika swej sztuki, ośmastoletni Smuglewicz wyjechał do Włoch. W Rzymie wszedł do szkoły Rafaela Mengsa, bardzo w swoim czasie słynnego mistrza, tam kolegował z francuzem David'em, który później dostąpił także wielkiej sławy w swojej ojczyźnie. Ofiarowano korzystną posadę i pracę naszemu artyście w Anglii, ale on wolał wrócić do kraju, gdzie założył najprzód własną szkołę malarstwa a od r. 1797 aż do śmierci r. 1807 był profesorem w akademii Wileńskiej, gdzie też umarł.

Posiadamy bardzo dużo jego obrazów, przeważnie religijnych i historycznych, ale niestety wiele pięknych dzieł jego uległo zniszczeniu. W kościele np. u-go Krzyża na Łysej Górze piękne jego freski czyli obrazy malowane na świeżym murze znajdują się dziś w opłakanym stanie. Artysta przedstawił w nich całą legendę o założeniu tego kościoła i o przewiezieniu relikwii Krzyża Świętego, jaka się w nim znajduje *).

Na wystawie obecnej jest kilka prac Smuglewicza, między innymi obraz olejny „Bitwa pod Beresteczkiem” i rycina „Bitwa pod Raszynem”.

W Smuglewiczu znać przejęcie się szkołą włoską. Współczesnym mu, prawdziwie swojskim malarzem, był krakowianin, Michał Stachowicz, który żył i umarł w swem ro-

dzinem mieście. Ur. 1768 r., um. 1825. Nie miał on sposobności kształcenia się u zagranicznych mistrzów, ani podziwiania arcydzieł sztuki, wszystko co umiał, zawdzięczał swej pracy i malarzom cudzoziemcom w Polsce osiadłym. Obrazy jego świadczą, że posiadał wielkie zdolności, którym jednak brakło należytego kierunku. Oprócz obrazów religijnych i historycznych zyskały mu największą sławę utwory, w których najpierwszy przedstawił sceny z życia naszego ludu, stroje, obyczaje i typy. Tym sposobem więcej zrobił dla naszej sztuki, niż szczęśliwsi od niego artyści, którzy wprowadzili lepiej się wykształceni za granicą, ale przytem zatracili cechy narodowe. Wszyscy malarze, o których mówiliśmy dotąd mogli być tak dobrze Włochami lub Francuzami, w Stachowiczu zaś od razu poznać można polskiego malarza.

W. Marré.

(d. c. n.)

Zofia Kowerska

DZIELNY CHŁOPIEC.

(Dokończenie).

— Dobrze! Dawaj, pieniądze się u mnie nie przelewają i potrzebuję ich!

— Nie, proszę pana, ja tylko chcę żeby pan był łaskaw... żeby pan pozwolił... żeby pan się nie gniewał...

— Cóż ty, paniątko, zapominasz języka w gębie!

— Ja proszę żeby Franusia oddać do szpitala, a ja za niego zapłacę wszystko.

Pan Dratwiński z pod chmurnego czoła i krzaczastych brwi spojrzął na Józika i nagle coś się dziwnego stało z tym ostrym i gburowatym człowiekiem. Rysy jego przybrały wyraz wielkiego rozrzewnienia, w oczach zabłyśły łzy, otworzył ramiona i do bijącego wrzuceniem serca, zamkniętego w szerokiej piersi, przycisnął Józika.

Ale nie powiedział ani słowa. Bał się, by się głośno nie rozplakał, a nie był przecie płakliwą babą, wyszedł więc z izby, nie wyrzekłszy ani słowa.

Józik jednak poczuł, że zwycięstwo było po jego stronie. Teraz zostawała tylko pani Dratwińska. Józik myślał, że sobie łatwo z nią poradzi, tymczasem kobieta ani słyszeć chciała:

— Co, miałabym dziecko oddać do szpitala? Czy to ono już takie ostatnie? Czy to ono już taka sierota bez ojca i matki, żeby je do szpitala oddawać!

Nie było rady, bo z głupotą rada najtrudniejsza. Józik wrócił do domu strapiiony i zamyślony. Miał ciągle w oczach wymizerowaną twarz Franusia i jego spojrzenie, w którym malowały się wszystkie jego cierpienia.

Zwierzył się panu Wirwońskiemu, który odpowiedział:

— Kontent jestem, że się tak stało. Możeby w szpitalu tego chłopca nie uratowali, a tybyś stracił zarobek twój cały.

Józik z niepokojem oczekiwał następnej niedzieli. Może już biednego Franusia przy życiu nie zastanie?

Tymczasem we wtorek przyszedł z Pragi posłaniec z prośbą od państwa Dratwińskich, by Józik natychmiast do nich przybył, bo chodziło o ważną sprawę. Józik odpowiedział, że majstra nie było w domu i musiał czekać na jego powrót, by dostać pozwolenie odejścia od roboty w dzień powszedni. Po obiedzie, dostawszy pozwolenie, ruszył na Pragę.

Został scenę taką:

Pan Dratwiński chodził wielkimi krokami po izbie, pani w kącie płakała, Franuś jęczał i zdawało się, że kona. Ksiądz właśnie odchodził od niego.

*) Legendę tę zamieściła p. Łopuszańska w „Obronie bogów.”

— A rób ty z nim co chcesz! — zawołała do Józika pani Dratwińska — ksiądz mówi, że go trzeba oddać do szpitala! Ja już na nie nie mam głowy, róbcie sobie co chcecie! Już mi i sił nie staje patrzeć jak to dziecko się męczy! Może ty, Józiku, masz jakie natchnienie od Pana Boga!

Pan Dratwiński wyciągnął rękę do Józika i rzekł gburawo, bo chciał ukryć wzruszenie i żal, który go ścisnął za gardło:

— Nie mam ani grosza w domu i pożyczyc mi ciężko... oddam ci gdy będę mógł.

Józik aż krzyknął z radości:

— A, chwała Bogu!

Z wielkimi ostrożnościami umieszczono Franusia na materacach i poduszkach, z których zrobiono rodzaj posłania w dorożce. Po em kazano jechać wolno. Pan Dratwiński szedł z jednej strony dorożki, Józik z drugiej. Wieziono Franusia do Warszawy, gdyż prosił, by go umieszczono w szpitalu najbliższym tej ulicy, przy której mieszkał Józik. Złożono go na czystym, białym szpitalnym posłaniu, do którego zbliżyła się zaraz Siostra Miłosierdzia, mająca wziąć Franusia w opiekę.

— Jutro rano przyjdą lekarze — mówiła — to zadecydują co jest do zrobienia, a tymczasem będziesz należał do mnie, mój biedny chłopce.

Józik pożegnał Franusia. Obiecał mu, że codziennie, w godzinie obiadowej, gdy miał czas na odpoczynek, będzie przybiegał do szpitala, który był niedaleko od sklepu pana Wirwońskiego. Może wszystkiego jaki kwadrans trzeba było iść spiesznym krokiem, a Józikowi, gdy biegł po swoje, to i dziesięć minut wystarczało. Poprosił on Siostry Miłosierdzia, żeby mu pozwoliła choć na parę minut widywać się codziennie z Franusiem. Potem poszedł prosić pana Wirwońskiego, by odebrał z kasy oszczędności pieniądze, które tam składał na jego imię.

Nazajutrz w porze obiadowej, Józik zjawił się w szpitalu. Zastał Franusia cierpiącego bardzo, ale ożywionego trochę nadziei. Operacja miała się odbyć nazajutrz a lekarze oświadczyli, że jeżeli tylko siły Franusia nie są zbyt wyczerpane, to powinien przyjść do zdrowia. Byłe tylko miał dość sił do przetrwania operacji!

Franus błagał Józika, żeby przyszedł nazajutrz rano przed operacją. Chciał się z nim pożegnać i prosił by też sprowadził rodziców. Czuł, że mu niewiele brakowało do śmierci i chciał, nim go zabiorą do sali operacyjnej, widzieć wszystkich tych, których kochał najbardziej.

Józik posłał kartkę do państwa Dratwińskich i z nieśmiałością przyszedł prosić pana Wirwońskiego o uwolnienie nazajutrz na pół dnia.

— Uwalniam cię — rzekł pan Wirwoński. — Od tego czasu jak tu jesteś, dopiero pół dnia powszedniego spróżnowałeś. Jutro będzie drugie pół dnia.

Już od godziny ósmej Józik czekał w szpitalu. Dopiero o dziesiątej wpuszczono go do Franusia i to tylko na chwilę, gdyż czekali właśnie na przybycie lekarzy, a wtedy nikomu przy chorym być nie pozwalano. Franus żegnał się z rodzicami i Józikiem, jakby miał iść na śmierć. Pani Dratwińska cały szpital napelniła krzykliwym płaczem.

Nareszcie rozeszła się wiadomość, że lekarze już są i zdrowych wszystkich wyprawiono. Wyszli państwo Dratwińscy i Józik byłby wyszedł gdyby nie to, że Franus tak się rękami uczeplił jego szyi, że go od niej oderwać nie było można. W końcu Józik wyperswadował Franusowi, że nie mógł zostać przy nim i uwolnwszy się od jego uścisku, usiłował conajprędzej wymknąć się z sali, gdy ujrzał wchodzących kilku mężczyzn w białych fartuchach, przypominających wyglądem swoim kucharzy. Na przedzie szedł jakiś mężczyzna starszy, tuż za nim młody, na którego widok Józik zaczerwienił się, potem zaś zbladł jak chusta. Zapomniał gdzie się znajduje, zapomniał, że nie miał prawa osobą swoją zajmować czasu tym ludziom, zapomniał o wszystkim na świecie. Podbiegł do młodego lekarza i chwyciwszy rękę

jego w swoje drżące dłonie, przycisnął ją do ust gorących, i wyszeptał:

— Mój Boże, mój Boże!.. Co to za szczęście!..

Wesołowski, gdyż to był on właśnie, podniósł głowę chłopca, by spojrzeć w twarz jego, potem głosem, za którego dźwiękiem Józik tak długo tęsknił, zawołał:

— Józik! Skąd się tu wziąłeś? Szukałem cię od sześciu miesięcy po całej Warszawie!.. Józik, czy być może!

Uściskali się serdecznie.

— Ja tu oddałem do szpitala chłopca...

— Ty oddałeś? Jakiego chłopca?

— Mają mu obciąć nogę!

— Aha! Ta noga to się pod mój nóż dostanie! Czy możesz na mnie w przedsonku poczekać? Stęskniłem się do ciebie i nie puszczę cię tak łatwo!

— Poczekał panie, poczekał, choćby dzień cały!

Po godzinie czekania, Józik poczuł, że jakaś ręka chwytła go za ucho. Odwrócił się; miał za sobą Wesołowskiego.

— A czy to nie warto dać ci dobrze za uszy, za to, żeś się do mnie nie zgłosił. Przecie musiałeś wiedzieć, że jestem w Warszawie?

Poszli razem ku mieszkaniu Wesołowskiego, opowiadając sobie wzajemnie, jakie przechodzili koleje. Wesołowski przez lat parę był przy jednym ze szpitali paryskich. Teraz od pół roku osiedlił się w Warszawie, gdzie miał nadzieję zdobyć sobie praktykę, jako operator. Był zawsze wesóły i szczęśliwy. Wszystko mu się wiodło, on lubił ludzi i ludzie go lubili. Mówiono powszechnie, że miał wielką zręczność jako operator. Był jeszcze szczęśliwy z tego względu, że się żenił z bardzo dobrą i miłą panienką. Brał żonę zupełnie ubogą, ale znał jej przymioty i wiedział, że mu będzie w życiu pomocą i radością. Zapraszał Józika na wesele.

Józik się wymawiał:

— Gdzież ja tam między panami...

— Józik! — krzyknął Wesołowski — nie bądź głupi! Cóż to, nie wiesz, że przyjaciel na weselu przyjaciela być musi?

Józik nie bardzo długo mógł być u Wesołowskiego, bo doktora wezwano do jakiegoś chorego. Gdy się Wesołowski zabierał do wyjścia, Józik zapytał:

— Czy Franus... z nogą amputowaną, żyć będzie?

— Operacja się udała. Powinno być dobrze! Tylko tam sił za grosz nie ma! Ratunek może być spóźniony. Żeby tak kilka miesięcy wcześniej, toby żył z pewnością. No, pamiętaj, że moje wesele w niedziele. Przyjdziesz do mnie rano i już ja cię do mojej narzeczonej zaprowadzę.

Józik, na weselu, doznał tej wielkiej przyjemności, że zobaczył Płaksę i Aliganta. Ostatni był lekarzem w Kaliszu, zaś Płaksa osiedlił się w małym miasteczku niedaleko Radomia. Aligant był tak wystrojony, że się każdy oglądał na niego, miał na sobie prześliczny krawat, który mu Wesołowski przywiózł z Paryża. Płaksa był zawsze kwaśny, i choć był na weselu, miał minę pogrzebową. Nie dobrze mu się wiodło w miasteczku i ludzie mówili, że chorzy jego umierają ze znudzenia, patrząc na niego. Przy obiedzie weselnym Wesołowski pił zdrowie swoich najlepszych przyjaciół: Aliganta, Płaksy i Józika. Panna młoda stuknęła swym kieliszkiem w kieliszek Józika, mówiąc:

— A niech Józik pamięta, że powinien uważać dom nasz za dom najbliższych sobie i najżyyczliwszych ludzi. Mój mąż mówił mi wiele o Józiku.. A czy żyje jeszcze Bosy?

— Żyje, proszę pani.

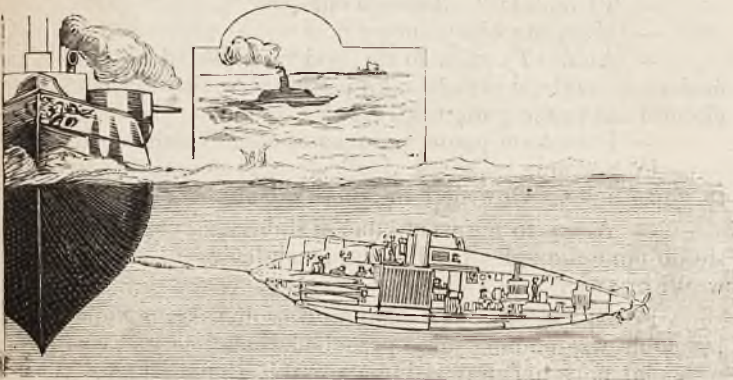
— To i Bosego proszę przyprowadzić.

Franus długi jeszcze czas nie mógł przyjść do siebie. Noga mu się powoli goiła, ale daleko już mniej go bolała i mógł przynajmniej sypiać w nocy. Po paru tygodniach rodzice zabrali go ze szpitala do domu, a Wesołowski dla Józika to zrobił, że raz na tydzień jeździł opatrywać chorą nogę. Sen przynosił choremu pokrzepienie, apetyt powrócił i pewnego dnia Franus zażądał, by mu dano jaką robotę, bo już dosyć się napróżnował i pragnął być rodzicom pożytecz-

nym. Pani Dratwińska z radością opowiedziała to Józikowi w niedzielę.

I rzeczywiście aż się serce radowało, gdy się patrzyło na Franusia, na którego twarzy, już trochę pełniejszej poczynił się ukazywać rumieniec zdrowia i młodości.

Powrót do zdrowia Franusia był dla państwa Dratwińskich początkiem lepszych czasów. Chłopiec, choć chodził o kulach, okazał się pracowitym, zapobiegliwym i bardzo sprytnym w prowadzeniu wszystkiego w sklepie i warsztacie.



Statek podwodny „Holland.”

Był sprawiedliwym i uprzejmym dla chłopców i czeladników, u matki wyrabiał dla nich mniej skąpo wydzielane jedzenie więc przestali uciekać z zakładu pana Dratwińskiego, który prędko spostrzegł, że miał w kalekim synu dzielnego pomocnika i doradcę.

Franuś utrzymuje, że wydane przez Józika na szpital pieniądze, odda mu co do grosza.

Józik jest zawsze u pana Wirwońskiego, który kilka dni temu przywołał go do siebie i powiedział mu:

— Moi synowie są w uniwersytecie. Jeden będzie lekarzem, drugi prawnikiem, ty więc Józiku, musisz interes cały, sklep i warsztat prowadzić wraz ze mną, z tą myślą, że kiedyś, gdy ja już będę za stary, bym mógł pracować, ty mnie ze swego zarobku spłacisz i moją firmę odziedziczysz, to znaczy, że obok mego nazwiska, na szyldzie postawisz swoje nazwisko.

Józik zgodził się chętnie i od tej chwili pracuje on jeszcze gorliwiej. Pan Wirwoński wtajemnicza go we wszystko co dobry i uczciwy przemysłowiec umieć i rozumieć powinien. Może za jakie lat dziesięć na sklepie z obuwiem przechodnie czytać będą: *Józef Kilowski*.

Bosy już nie istnieje. Zginął bohaterską śmiercią. Pewnego dnia państwo Wesołowscy zaprosili Józika na majówkę. Wyjechali z nim na Morysinek. Mieli w koszyku zapasy i usiedli w cieniu na trawie, żeby je spożyć. Wtem, pies wściekły, za którym z daleka ludzie gonili, rzucił się na panią Wesołowską i nawet rozdarł jej suknię. Wtedy Bosy zrozumiał, jaki był jego obowiązek. Rzucił się na wściekłego psa i stoczył z nim zjadłą walkę. Tymczasem nadbiegli żołnierze, sprowadzeni przez włóścian, goniących z kijami za psem i kilku wystrzałami położyli na miejscu i Bosego i jego przeciwnika.

Bosy ocalił panią Wesołowską, ale sam nie powrócił już z majówki. Józik oplakał zgon jego łzami szczerego żalu.

Wesołowski bywa często jako lekarz u tej pani, którą Józik pożegnawszy państwa Dratwińskich, spotkał na ulicy z sześcioma pieskami na sznureczkach. Pieski te żyją i mają u swej pani utrzymanie, ale przestała już ona kochać je więcej od ludzi. W jej domu, w jednym tygodniu umarli z tyfusu, stróż i stróżowa, zostawiając troje drobnych dzieci. Pani z pieskami idąca na spacer, usłyszała płacz opuszczonych dzieci, które jakaś krewna zabierała, bijąc je i przeklinając. Wtedy to pani, która miała dobre i ludzkie serce, tylko za-

krwawione przez brata, poczuła litość wielką i dzieci zabrała do siebie. Odtąd pieski przestały być jej jedynym szczęściem. Wyznała ona Wesołowskiemu, że świat innym, lepszym jej się wydaje, odkąd czuje się pożyteczną, bo troje dzieci postanowiła wychować na zacnych i porządnych ludzi.



W OBŁOKACH I POD WODĄ

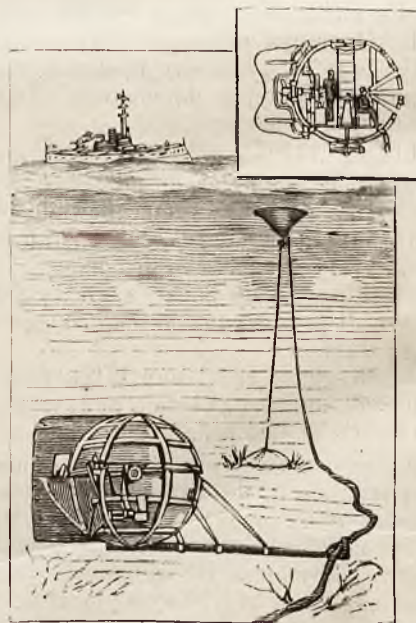
WYPRAWY „LATAJĄCEJ RYBY.”

opisał H. C.

Od autora.

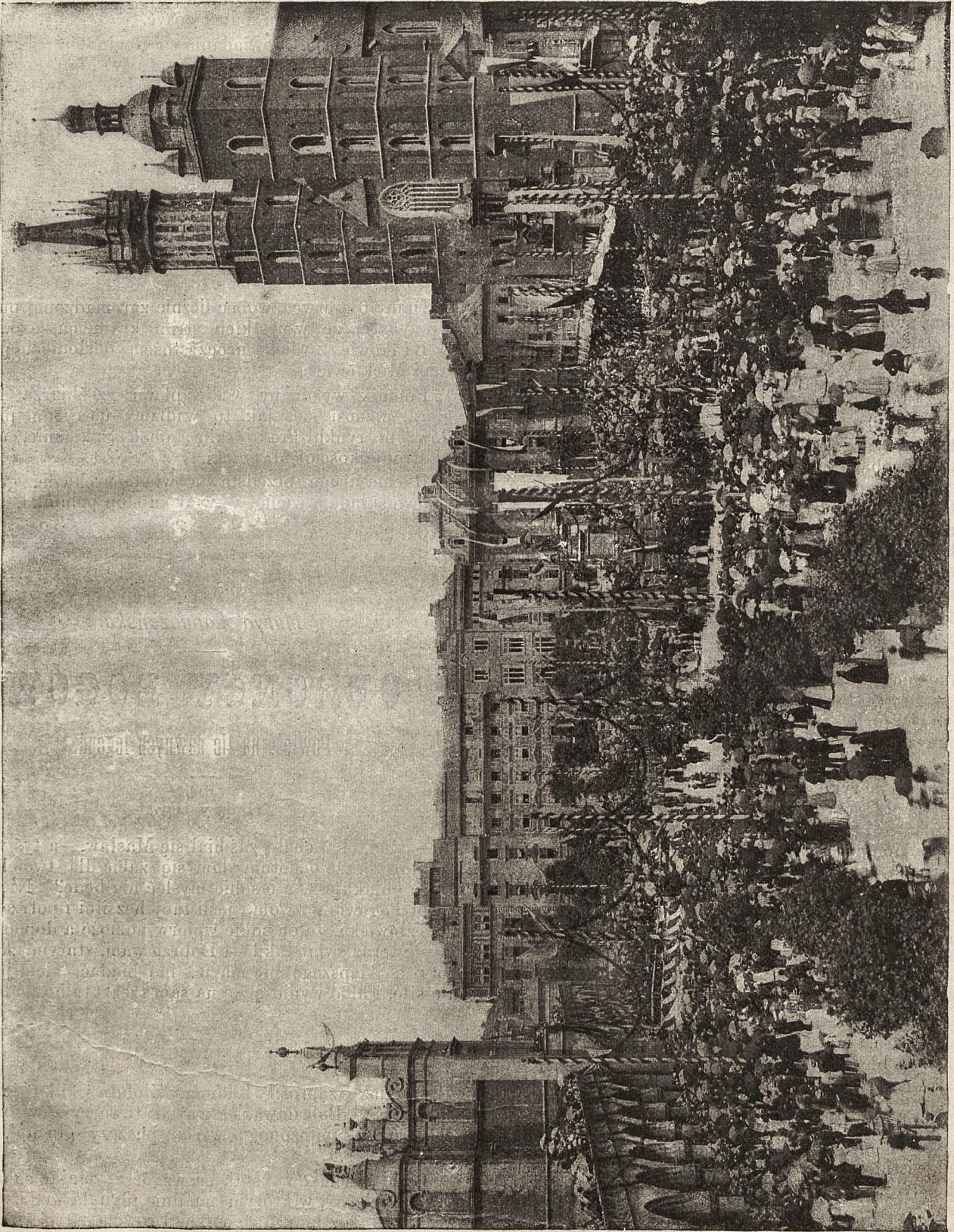
Od czasu, gdy przed trzydziestu laty Juliusz Verne w swej żywej a nieraz wieszczęj wyobraźni odtworzył statek podwodny, Nautilus, poruszany elektrycznością, i opisał jego podróże po wszystkich morzach kuli ziemskiej, pod kierunkiem tajemniczego kapitana Nemo, technika i wynalazczość ludzka uczyniła olbrzymie postępy. Można śmiało twierdzić, że kwestya statków podwodnych została w zasadzie rozwiązana. Dowodem tego najlepszym jest ta okoliczność, iż wojujące obecnie państwa, to jest Stany Zjednoczone Ameryki północnej i Hiszpania posiadają po jednym statku, różnej wprawdzie, lecz podobnej konstrukcyi, które mogą przebywać i pływać pod powierzchnią morza około 10 godzin z rzędu.

Rzeczpospolita amerykańska liczy w spisie swej floty statek podwodny „Holland,” zbudowany w r. 1890 przez



Statek „Robotnik podwodny.”

Irlandczyka J. P. Hollanda. Jak widać z załączonego przezemnie rysunku, jest to podwodny torpedowiec, kształtu cygara, mającego 53 stopy długości. Ciężar jego wynosi 16 tonn a powiększa się do 26 tonn, jeżeli do specjalnych przegródek wejdzie woda, potrzebna, aby swym ciężarem statek zanurzyć. Za pomocą maszyn reguluje się ilość wody, stanowiącej balast, i w ten sposób statek może pływać na dowolnej głębokości; stosownie zaś urządzony ster pozwala mu zmieniać kierunek ku dnu lub ku powierzchni morza. Podwodny ten torpedowiec wyrzuca z siebie torpedy, których wybuch zatapia okrę-



ODSEŃNIĘCIE POEMNIKA ADAMA MICKIEWICZA W KRAKOWIE

ty nieprzyjacielskie, a do wyrzucania torped za pomocą ścięsnionego powietrza, posiada armatę wynalazku kapitana Zalińskiego.

Na wyjątkową uwagę zasługuje jedno urządzenie, pozwalające załodze, złożonej z ośmiu ludzi, widzieć z głębi morza to, co się dzieje na jego powierzchni. W tym celu z grzbietu statku wysuwa się długa rura, zaopatrzona w przyrząd podobny do ciemni optycznej (camera obscura), widok morza, odbity od lustra, pada na tafłę szkła matowego wewnątrz statku tak, że zamknięci pod wodą ludzie widzą, co się dzieje na morzu lecz w niewielkim tylko promieniu. Zbyteczną też rzeczą dodawać, że w ścianach swych „Holland” posiada szyby szklane, przez które można obserwować głębie morskie, oświetlone snopem promieni elektrycznych.

Szybkość statku wynosi 16 węzłów na godzinę na powierzchni morza, a 8 pod wodą, ale główną jego niedogodnością jest to, że ze względu na konieczną oszczędność miejsca, niema tam ani łożek, ani żadnego składu żywności tak, że statek musi zawsze znajdować się w pobliżu jakiegoś zwyčajnego okrętu, który przynajmniej dwa razy na dzień dostarcza żywności i zmienia załogę.

Podobną niedogodność posiada i hiszpański „Robotnik podwodny,” zbudowany we Francyi według planu hr. Piatti del Pozzo.

Jest to kula metalowa, mająca w diametrze 9 stóp; waga 9 tonn. Powietrze ścięsnione w środku wystarcza dla trzech ludzi w ciągu 8 godzin. Poruszany maszyną elektryczną, statek ten płynie z szybkością 8 do 9 węzłów na godzinę, i oświetlając sobie drogę elektrycznością, może z łatwością prowadzić okręty wojenne po wodach, usianych torpedami, albo zakładać miny pod okręty nieprzyjacielskie. Nadto z przodu jego w razie potrzeby wysuwają się długie nożyce, czy też szczypce, łączące stacye elektryczne z torpedami na dnie morza, zapobiegając przez to ich wybuchowi.

Ale oba te statki są niczem, są nieudolną zabawką wobec statku, którego opis i dotychczasowe dzieje opowiedział mi dawny mój przyjaciel, baronet Reginald Elphinstone. Nie widziałem się z nim w ciągu lat kilku i najnie spodziewaniej spotkałem go na pokładzie Aurory. Płynęliśmy razem z Dwuru do Calais, a następnie jechaliśmy przez całą Francję i Włochy; ja do Rzymu, on dalej, do Brindisi, a stamtąd przez Suez do Kalkuty.

Było to w końcu kwietnia, w kilka dni po wypowiedzeniu wojny przez Amerykę.

Kiedy z zapałem rozwodziłem się przed nim nad zalecaniami „Hollanda” i „Robotnika podwodnego”, wzruszył on lekceważąco ramionami i rzekł z widocznym ożywieniem:

— Mój Henryku! co znaczą te dwa niedołęzne żółwie, któremi się chępliwą wojujące strony. Co one znaczą wobec mojej „Latającej Ryby”, wobec tego cudownego statku, który za pociśnięciem kilku guziczków, puł powietrze, jak strzała, latał wśród obłoków, lub szybował w głębi morza. I powiedzieć, że ten statek należał do mnie, że rok temu chodziłem po jego pokładzie, spałem, jadłem, mieszkałem razem z tym nieocenionym profesorem, z Mildmay'em i Lethbrid'em! Ja, który leciałem na nim z szybkością stu pięćdziesięciu mil na godzinę, aż na biegun północny, muszę teraz sunąć się na zwykłym parowcu, rzućany i targany przez te marne fale kanału la Manche!

Spojrzałem na niego zadziwiony, zapomniawszy, jak to mówią, języka w gębie. On ciągnął dalej:

— Tak, istnieje taki statek i ja jestem jego właścicielem! Ach! gdyby ten stary profesor, ten genialny Karliński odzyskał przedź przytomność!...

— Przepraszam, rzekłem, przerywając mu. Uważałem cię zawsze za człowieka wesołego i dowcipnego, lecz poważnego i prawdziwego. Twierdzisz więc, że jesteś posiadaczem statku, który lata w powietrzu i pływa pod wodą, że odbyłeś na nim podróż napowietrzną do bieguna północnego. Wybac, ale temu trudno dać wiarę.

— Tak, byłem na biegunie, byłem na dnie oceanu, w głębiach Afryki i na szczycie Himalaja! Tak, twierdzą to

stanowczo, jakem sir Reginald Elphinstone, a jeśli nie wierzysz, potwierdzą ci to samo Mildmay, Lethbridge, wreszcie Jerzy mój lokaj, który płynie w tej chwili z nami, i kucharz którego zostawiłem w domu. Oni razem ze mną odbyli tę próbną wyprawę, po ukończeniu której mieliśmy całemu światu przedstawić nasz cudowny statek. I byłoby to nastąpiło z pewnością, gdyby... Ale słuchaj! wolę ci wszystko opowiedzieć od początku; czasu mamy dosyć.

Z tego właśnie opowiadania sir Reginalda i jego notatek skreśliłem opis nadzwyczajnej wyprawy „Latającej Ryby,” który tu w bardziej zajmującej formie opowieści pomieszczam.

(d. c. n.)

Pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie.

Dnia 26 czerwca, wobec licznie zgromadzonej publiczności, przybyłej ze wszystkich stron kraju naszego, odbyło się w Krakowie z wielką uroczystością odsłonięcie pomnika, Adama Mickiewicza.

Pomnik wykonany wedle planu rzeźbiarza Teodora Rygiera, wznosi się, jak to widzimy na rycinie pierwszej, w głównym rynku krakowskim, obok Sukiennic, mając po lewej stronie kościół Maryacki.

Rycina druga przedstawia właśnie chwilę, gdy liczne delegacje składają wieńce i kwiaty u stóp pomnika.

Marya Łopuszańska.

OBROŃCY BOGÓW

Powieść na tle dawnych legend.

(Dalszy ciąg).

— Cha, cha, cha! — zaśmiał się Masław, — a tyś wciąż sądził, starcze, że ochotnie dam się zabić dla twoich bogów, których oplakujesz, a o sobie myśleć nie będę? Niechże tedy twoi bogowie pozwolą, jeśli tacy bezsilni i potrzebują pomocy człowieka, że on sobie wpierw pomoże a dopiero o nich pomyśli; teraz świat taki! — Dobrze wam, starym, którzy do roboty nie lepszego nie macie, ino biadać, alem ja młody, czuję siłę, i albo wyniosę się na sam szczyt, albo padnę!...

VI.

Przemko zaprosił Ładonę, Zbiluta i kilku jeszcze innych rycerzy Bolesława, dawnych towarzyszków broni, do swego gródka, położonego wśród puszczy głuchej, o dzień drogi od Kiele.

Gród Przemkowy stał na wzgórzu, mając za sobą głęboki parów leśny, w którym na dnie płynęła woda. Szeroki rów otaczał go z innych stron, nad rowem ostrokół, stawiony na wale, mocno ubitym z gliny i udarnionym.

Wewnątrz stało domostwo i zabudowania gospodarskie, wszystko pokryte dachem trzcinowym, w głąb, dla zabezpieczenia od ognia.

Wyżej, ponad to, wznosiła się wieża drewniana, na kamiennym podmurowaniu, służąca zarazem za więzienie, skład na domowe sprzęty i strażnicę.

Spichrza na zboże nie było, bo wymłócone składano w parsku to jest w jamie, wykopanej na suchym miejscu, którą jeszcze gdy była w piaszczystym gruncie, wykładano korą brzoową, a jeśli w gliniastym, wypalano; zasypane później ziemią zboże w ten sposób mogło stać lata całe.

Pod dachem, wspartym na czterech słupach, stały sochy, brony i wóz. W oborze mieściło się kilkadziesiąt sztuk bydła, płowej maści, pochodzących od dzikiego mieszkańca ówczesnych borów, od tura.

W chlewku znajdowało się stado owiec czarno-runych oraz kóz i świń krzyżowanych z dzikami.

W stajence było kilka koni, małego wzrostu, ale silnych i wytrzymałych.

Pod dachem, na żerdziach, suszyły się ryby na zimę; rozłożone na słońcu, u stoku pagórka, bielilo się płótno, które właśnie teraz kilka dziewcząt zbierało przed nastąpieniem wieczoru.

Kury, będące wówczas, prócz gołębi, jedynym domowym ptastwem, chodziły po podwórce i grzebały.

Parę psów ogromnych, z rasy wilczej strzegło dzień i noc domostwa. Za domem było coś w rodzaju sadu, gdzie dzikie czereśnie i jabłonie bielily się kwieciami, a pod nimi stało kilka uli słomianych. W ogrodzie rosły grzedy rzepy, którą starannie wówczas zachowywano na zimę.

Gdy młodzi rycerze przybyli na gródek, było już pod wieczór, właśnie tylko co pastuchy przygnali trzody z pastwiska i poili u strugi, przepływającej w pobliżu. Ryk bydła mieszał się z gwarem rozmów i śmiechami dziewczek, zabierających się do dojenia owiec. Niekiedy rozlegał się odgłos fujarki lipowej; przygrywał na niej jeden z parobczaków, którzy pędzili konie na noc do lasu. Inni powracali z pola, uznojeni po pracy całodziśniej. Wszyscy niemal odziani byli w długie koszule, oraz w krótkie kożuszki bez rękawów, z pod których widać było nagie ramiona silne, i ogorzałe; na nogach zaś mieli łapcie z łyka lipowego.

Wesoły gwar wzmógł się jeszcze, skoro z wewnątrz domu wezwano na wieczerzę; dziewczęta, niosąc skopce mleka, biegły przez podwórze, ze śmiechem odpowiadając na żarty chłopców, którzy zarzuciwszy paszę bydłu, spieszyli wraz z niemi do izby.

Ale śmiechy te ustały, gdy goście wjechali w bramę i stanęli przed podsieniem, zsiadając z koni; dziewczęta natychmiast pierzchły w różne strony, niby stado spłoszonych gołębi, a sam Przemko wyszedł na spotkanie nowoprzybyłych, witając ich u proga.

Z podsienia weszli do wielkiej izby środkowej, która miała na jednym końcu ognisko, wyłożone kamieniami. Dym wychodził przez otwór w powale. Pod ścianą stały ciężkie ławy dębowe, na dnie uroczyste, okrywane zazwyczaj krasnemi makatami, które Waregi, zrabowawszy w Carogrodzie, sprzedawali później Polanom i Chrobotom.

Na długim stole, czysto zawsze wymytym, stały chleb i sól, na przyjęcie gościa, którego zwykle sadzano w narożnym miejscu, jako najzaszczytniejszem. W drugim rogu stały krosna, dalej stępa, żarna i miedlica. Półki aż ugięły się od naczyń, prostych gliniannych, lub też z pięknej, błyszczącej miedzi, kupionych od niemieckich kupców. Dzieńca na chleb znajdowała się przy ognisku, bednie zaś, służące za skład na przyodziewek, stały po kątach izby. Na ścianach wisiała broń rozmaita, a było się czem pochlubić; od prostej maczugi, nabijanej krzemieniem, aż do łuku cisowego, toporka, normandzkiego miecza, wszystko tam zgromadził gospodarz.

Okienka były małe, zaciągnięte błonami, na noc zaś zamykały je okiennice.

Na progu izby czekała gości z pokłonem żona Przemka, młoda, wesoła, jasnowłosa kobieta, odziana w kabacik z sinego sukna, sznurowany z przodu na czerwone tasiemki, białe zaś okrycie zdobiło jej głowę. Proste siedlaczki miały je zazwyczaj z domowego płótna, ale bogata żona władcy kupowała od kupców z Pragi piękne, białe, cieniutkie płótno na owe namiotki.

Kilka dziewczek krzątało się już, stawiając na stół dymiące misy z jadłem; pomagały one kobiecie w gospodarstwie, bo dość było przy niem zajęcia; oprócz zwykłych robót, przy dojeniu bydła i przygotowaniu posiłku, trzeba było jeszcze tkać i barwić płótno, zbierać na wodzie pławuchę, zwaną teraz manną, suszyć i nawlekać na nitki rzepę, zbierać gruszki dzikie, tarninę, grzyby i t. p. płody leśne na zimę. Cały rok nie był wolnym od pracy, zimą i latem ona trwała; pracowano bezustanku z wesołą pieśnią na ustach, bo Słowianin nie mógł nie robić bez niej, czy to miesiono chleb, czy mielono zboże w ziarnach, zwykle śpiew towarzyszył owym zajęciom. Mężczyźni podczas pory zimowej przygotowywali sieci, wyprawiali skóry na kożuchy i zastawiali pułapki na dzikiego zwierza, który nieraz robił znaczne szkody w zasiewach i dobytku.

Gdy rycerze weszli do izby i zasiedli przy stole, powoli poczęli się schodzić za nimi ludzie Przemkowi na wieczerzę, Dziwną sprzeczność stanowili owi wojacy, odziani strojnie w płaszcze i kołpaki bogate, z tymi prostymi, pół dzikimi rolnikami, przybranymi w skóry. Po wieczerzy mężczyźni rozeszli się na spoczynek, kobiety także gdzieś znikły; w izbie zostali tylko Przemko i jego goście. Cisza zaległa dokoła, tylko strażnik przechadzał się na wierzchu wieżycy, i psy naszczekiwały, czując gdzieś wilka. Przemko do późna przesiadzał z dawnymi towarzyszami, wspominając ubiegłe czasy, i opowiadając sobie wzajem wszystko, co się działo od chwili, gdy się rozstali.

Rad był niezmiernie spotkaniu z druhami, i przyjmował ich gościnnie i serdecznie.

— Dobrze to były czasy—mówił Przemko z westchnieniem — podrzucając gruby kawał drzewa do ogniska, płonącego w rogu; niech mię piorun spali, jeśliś w własnej woli porzucił to wszystko. Ale cóż, ojciec postarzał się, nie było komu rządzić opolem, trzeba było wracać na rolę, rad nie rad. A gdy wspomnę owe lata, gdyśmy to z królem na wojaczkę chodzili! Człek był wolny wówczas, o nic się nie troskał — a teraz! Pracuj jak wół, tu w tej puszczy, by mieć kęs ziemi pod uprawę; rąb, karczuj, poć się, a do tego żyj jako wilk w legowisku, albo ów niedzwiedz lasowy. Stokroć lepiej było rąbać po łbach niemieckich, a po tem brać łupy z grodów zdobytych — to daleko lżejsza praca.

— Nie przeczę — że nasze życie weselsze — ozwał się jeden z dawnych towarzyszy, ale praca? Jaka tu u was tak wielka praca, albo to mało was jest tutaj do pomocy?

— Ano, spróbuj iść na moje miejsce — zawałał Przemko — prędko odrzekłbyś się wszystkiego. Bo czego wam brak, wy, pieszczochy królewskie? Chodźcie strojni, na podziw innym, a król o was dba jak o żrenicę oka — wyście u niego pierwsi...

— Nie tak to bracie wszystko, jak ci się zdaje — ozwał się drugi — to prawda, że król o nas dbały, ale nie w smak to nikomu z nas, że niewolnych podnosi do godności rycerskiej, i daje nam za towarzyszy...

— Tak, tak — potwierdził pierwszy — to nikomu nie może być do smaku. Król zapomina, żeśmy wszyscy z rodu władyków.

Eh, bracie, nie wyrzekadbyś — rzekł Przemko, uderzając go po ramieniu. — Ciesz się lepiej tem, co masz, czego ci się jeszcze zachciowa? Sam powiedz, co lepsze, czy z mieczykiem przy boku i w kołpaku rysim jechać w orszaku królewskim na dalekie wyprawy, w świat, czy w śmierdzącym kożuchu za pługiem chodzić? A on jeszcze wydziwia i wymyśla różne rzeczy. Jabym dziś z chęcią wrócił...

— Ej, wilczyśko się ożeniło, uszy opuściło! — zaśmiał się Zbilut. — Już tyś nie ten, co dawniej.

— Nie ten, nie ten bracie — odparł Przemko, kiwając głową. — Pamiętasz oną wyprawę cesarza Ottona, kiedyśmy to szli przez różne piękne grody a kraje. Ot, było życie! I że też są u nas jeszcze starzy, co wyrzekają na nowy porządek, i mówią, że król — niemiecki obyczaj wprowadza...

— Ktoby ich tam słuchał, starych zrzedów! — machnął ręką Zbilut. — Wiadoma rzecz, co wszyscy musimy znosić od naszych ojców za to, że na królewskim dworze jesteśmy...

— Ot, powtarzam ci bracie—ozwał się znów Przemko— żeby mi tak nie nicwiała i dziecko, no i gospodarstwo, to rzuciłbym tę wileczą norę i poszedłbym znów z królem i z wami w świat szeroki. Ale cóż robić, kiedyś grzyb to leż do kosza, niema rady! A jeszcze w tej puszczy niezbyt rażno żyć, bo ma złą sławę. Powiadam wam, gdy noc nastanie to my tu takie głosy słyszymy, że strach. Nieraz strażnik ledwie żyw stoi na wieży bo powiada, że widuje całe gromady widm białych, jak się snują między drzewami.—Tu zniżył głos.

„A jeszcze to sąsiedztwo Łysej góry także nie dodaje ducha. Przekłęci czarownicy pogańscy, jeszcze nie zapomnieli, że tam odwieczne miejsce ich zgromadzenia! Skoro więc noc zapada, każę wszystkie bramy zamykać szczelnie, bo jakoś człowiek wtedy czuje się bezpieczniejszym choć to ponoś nie ochroni od złych duchów. A jeszcze co wam powiem, jako dobrym przyjaciółom, tylko nie mówcie tego nikomu; ojca mego zły duch nocami po puszczy wodzi.”

— Nie może być! — zawołano zewsząd.

— Nieinaczej. Radziłem się o tem z opatem Tuni, a on powiada, że trzeba go przypilnować i zobaczyć gdzie to on się udaje, gdyż inaczej nic na to poradzić nie można. — Ale dobrze mu gadać, czy to tak łatwo i bezpiecznie włóczyć się nocą po puszczy, gdzie tyle strachów. Wolalibyśmy ze stoma Niemcami naraz się potykać.

— Ot, wiesz co, bracie — zawołał nagle Zbilut — zdaj to na nas, my go przypilnujemy.

— A gdzież wam chodzić kędyś nocami po wertepach, żeby was jeszcze błędnie na bagna zawiodły?

— Nie będzie nam nic, zobaczysz — odparł Zbilut—my się nie boimy strachów. Ot, powiedz tylko kiedy stary się wyryka a już my go podpatrzemy.

— Niech i tak będzie skoro tego chcecie — koniecznie — odparł Przemko wzruszając ramionami. — Nie miejciez tylko do mnie urazy, jeżeli wam bezpięty karki pokręci.

— Nie bój się bracie, ja się naprzód piszę, że żadnej a żadnej urazy do ciebie mieć nie będę, jeśli to się stanie — odrzekł śmiejąc się Zbilut. — Ale wszyscy iść razem nie możemy, bo byśmy niczego niedokonali. Dalejże chłopcy, kto pierwszy? Jeśli nikt niechce zrobić początku, to ja się na to ofiaruję.

— Bracie — rzekł, kładąc rękę na ramieniu Zbyszka milczący dotąd Ładon — pozwólcie mi iść pierwszemu.

— Tak nie idzie, trzeba losy ciągnąć! — zawołano dokoła.

— A ja was proszę, powtórzył Ładon, pozwólcie mi iść pierwszemu.

— No, niech idzie — ozwał się Zbilut—o cóż wam chodzi tak bardzo: nie uda się jemu, to wy pójdziecie.

A nalewając czarę miodu zanucił:

„Kiedy mi czarny zastąpi drogę
To czarę miodu mu podam;
Miły bezpięty teraz nie mogę
Lecz potem więcej ci dodam.”

— A no, czy chcesz jeszcze jakiego licha napytać? — zawołał Przemko przez pół żartem, przez pół naprawdę za-

niepokojony. — Ciekawość cobyś robił gdyby ci bezpięty naprawdę zaszedł drogą?

— A cóż, zapytałbym go o zdrowie — odparł Zbilut.

— Ejże, daj pokój, mówię ci — wyrzekł Przemko niechętny.

— Dobrze tobie; ty sobie jutro pójdiesz gdzie cię oczy poniosą, a ja zostanę i gdy z was który go obrazi, to czarny będzie się mścił później na mym dobytku. Ja tu w puszczy, ze wszystkimi muszę żyć dobrze, bo niech sobie księża co chcą mówią, ale i dyabła gniewać nie można.

— Ja go też wcale gniewać nie myślę — odparł Zbilut przeciwnie — chcę z nim zawrzeć przymierze na wypadek gdyby przyszło bliższą z nim zabrać znajomość.

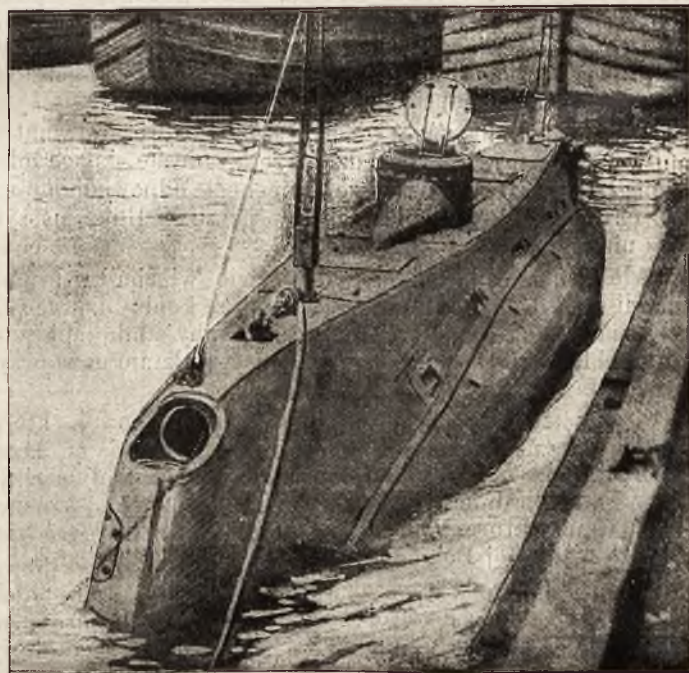
— No, ale zobaczymy jak się Ładonowi powiedzie; życzymy mu szczęścia na drogę i wypijmy jego zdrowie.

— Niech mu żadne nieprzyjazne duchy nie zachodzą w drogę! — zawołał ktoś inny.

— Nie tak, bracie, przerwał trzeci z towarzyszy, niech raczej ujrzy jaką hożą boginkę, pluskającą na brzegu wody, w poświacie miesiąca.

— Żeby go jeszcze zwabiła do wody?—odparł tamten— i stracilibyśmy druha? Żle mu życzysz!

(d. c. n.)



Widok podmorskiego statku „Holland“ (do pow. Latająca ryba).

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE rocznie rs. 4, z przesyłką pocztową rs. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10 NOWY.

TREŚĆ: Dawni nasi malarze p. W. Marréne. — Dzielný chłopiec przez Zofię Kowerską. — W obłokach i pod wodą, wyprawy „Latającej ryby“, opisał H. C. — Pomnik Adama Mickiewicza w Krakowie (z ryc.) — Obrońcy bogów, przez M. Łopuszańską. — **Dodatek:** Śpiew kosarzy, wiersz przez E. K. — Ukarana ciekawość przez J. P. — Prześladowca owadów. — Łamigłównki i rozwiązania. — Skrzynka do listów. — **Dodatek książkowy:** Juraś i Anulka, czyli historia rozbitków. Powieść Andrzeja Laurie, przekład M. D.



Śpiew kosarzy.

Brzęczą, brzęczą kosi
Tną złociste kłosa,
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny kłosów jęk!
Główka habru pada,
Kąkol woła biada!
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny habrów jęk!

Maczek chyli skronie,
Na purpury łonie.
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny maków jęk!
Dzwonek tkliwie dzwoni,
Od kosi się chroni,
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny dzwonek jęk!
Już skończone, już!
Ścięte morze zbóż,
Brzęk, brzęk, brzęk!
Smutny zboża jęk.

E. K.

UKARANA CIEKAWOŚĆ.

Helenka, córeczka państwa P. miała bardzo brzydka wadę, była nadzwyczaj ciekawa. Jak tylko mama wyszła z pokoju i zostawiła otworzoną komodę lub toaletę, w tej chwili wchodziła na krzesło i dalejze przeglądając wszystko. Otwierała każde pudełko, brała wszystko do ręki, a że często jeszcze chciała się dowiedzieć, co np. jest w zegarku, otworzywszy go, dotykała palcem obracające się kółka i tym sposobem zepsuła go nieraz. Mama bardzo się o to gniewała, naznaczała kary, ale to nic nie pomagało. Helenka przyrzekała poprawę, a drugiego dnia już o niej zapomniła. Razu pewnego, mama pozostawiwszy otworzoną szufladę, rzekła:

— Moja Helenko, muszę odejść, a komoda niezam-

knięta, zapowiadam żebyś nie ruszała, bo będę się gniewała, gdy za chwilę powrócę!

Dziewczynka przyrzekła, że do komody zbliżyć się nie będzie, ale jak tylko mama wyszła, zaraz na paluszkach pobiegła do niej. Chwilkę przypatrywała się niczego nie dotykając, ale zapomniawszy o przyrzeczeniu, zaczęła w niej gospodarować na dobre. Wszystko obejrzała i już miała wziąć się do uporządkowania, aby mama nie poznała jej nieposłuszeństwa, gdy wtem posłyszała czyjeś kroki w sąsiednim pokoju. Zapominając o wszystkim, przestraszona, chcąc ten nieład ukryć, popchnęła szufladę tak nieuważnie, że przycięła sobie fartuszek. Chce odbiedz, nie może, ciągnie fartuszek, ani sposób go wyciągnąć, a tu za drzwiami słyszy głosy swoich rówieśniczek! Przyszła Zosia, Felunia, Mania, przyniosły lalki, piłkę, i dopytują się gdzie Helenka. Mama otwiera drzwi:

— Helenko, Helenko, chodź-no prędko, dzieci przyszły, będziecie się bawili.

Ale Helenka nie rusza się z miejsca. Mama podchodzi do niej i bierze za rękę, aby zaprowadzić do drugiego pokoju i naraz widzi co się stało.

— A to tak — zawołała mama — widzisz, za twoją ciekawość sama się ukarałaś, ani myślę zwalniać cię z tej pułapki. Stójże sobie, kiedyś mamy nie słuchała, słusznie należy ci się kara.

Wyszła z pokoju, pozostawiając płaczącą Helenkę; przybyłym dzieciom przyniosła ciastek, cukierków i rzekła:

— Macie, moje drogie dzieci, bawcie się zgotujcie sobie w rądelkach obiad, Helenka dziś z wami bawić się nie będzie, bo była niegrzeczna i teraz ma karę, którą sobie sama zadała.

Dzieci zaczęły bawić się wesoło, a biedna Helenka z drugiego pokoju słysząc ich rozmowy i śmiech przyrzekała sobie, że już nigdy do żadnej komody zaglądać nie będzie.

Pod wieczór, kiedy dzieci poszły do domu, mama przyszła uwolnić ją i rzekła:

— Myślę, Helenko, że to już ostatnie twoje przewinienie, drugi raz nie chciałabyś chyba narażać się na taką przykrość.

Dziewczynka przyrzekła poprawę, ucałowała ręce mamy i zawstydzona położyła się spać. Nazajutrz rano, gdy wstała, ujrzała mamę ubraną już w kapelusz i okrycie.

— Idę do miasta, Helenko — rzekła — a ponieważ przyrzekłaś mi wczoraj, że pozbędziesz się ciekawości, przyniosę ci dawno obiecaną lalkę i lamigłówkę. Nie przestrzegam cię już, abyś czego nie ruszała i nie psuła, bo pewna jestem, że pamiętasz wczorajsze zdarzenie.

Wyszła, a Helenka wzięwszy swoje zabawki, poszła do jadalnego pokoju. Ale zaledwie próg przestąpiła, gdy ujrzała na stole pudełko owinięte papierem i obwiązane sznurkiem.

— Co to jest — pomyślała — coś widać przynieśli z miasta. Co też to być może! Pewnie ciastka albo cukierki!

Przystawiła krzesło do stołu, sięgnęła po paczkę. O przyrzeczeniu zapomniała i na wszystkie strony oglądać ją zaczęła.

— Ej, zobaczę co tam być może, mama nie będzie wiedziała, bo zawiążę tak samo, przecież potrafię. Wczoraj z komodą mógł mi się zdarzyć taki wypadek, ale z pudełkiem to co innego!

Rozwiązała więc sznurek, odwinęła papier, uchyliła wierzch pudełka, gdy wtem tuż koło uszu zabręczało naraz jak w ulu: Bzzz! bzzz! bzzz!

Helenka wystraszona, rzuciła pudełko na ziemię, z którego wyleciało na pokój kilkanaście much i zaczęły krążyć nad głową dziewczynki, próbując usiąść na nosku, uszach i buzi, zadowolone z oswobodzenia. Przestraszona, zaczęła się rękami zasłaniać, obawiając się, aby jej nie pokąsały, ale te złośliwe stworzonka jakby umyślnie czepiały się jej tylko. Z płaczem więc ogromnym, nie mogąc się oswobodzić, wcisnęła się w kącik za kanapę, krzycząc co sił starczyło.

— Na pomoc, na pomoc, chodźcie, ratujcie!

Nikt nie przychodził, bo służąca będąca w kuchni, nie słyszała jej wołania, ale po chwili dał się słyszeć dzwonek, a później głos i kroki mamy. Poszła do swego pokoju, zdjęła kapelusz i niosąc w jednej ręce prześlizną lalkę, ubraną po krakowsku, a w drugiej pudełko z łamigłówką, weszła do jadalnego pokoju, mówiąc:

— Patrzaj Helenko, co ci przyniosłam!

Lecz jakież było zdziwienie mamy, gdy ujrzała pudełko leżące na ziemi, a z kąta wychodzącą zapłakaną Helenkę, z zaczerwienionem i spuchniętym czołem.

— Mamusiu, mamusiu, ta obrzydliwa mucha tak mnie ukąsiła, patrz, ah! jak mnie boli, jak boli!

— Dobrze ci tak, niedobre dziecko, zasłużyłaś na to — rzekła mama. — Patrz, oto lalka i łamigłówka przeznaczone dla ciebie, darowane będą grzecznej zawsze Zosi, a ty, za ciekawość i nieposłuszeństwo, słusznie cierpisz i ukaraną jesteś. Umyślnie kazałam nałapać pszczoł do pudełka, aby się przekonać, czy choć raz potrafisz słowa dotrzymać; widzę niestety, że ci jeszcze wierzyć nie mogę.

I tym razem przeprosiny i obietnice nic nie pomogły, mama oddała lalkę i łamigłówkę Zosi, ale Helenka od tego już dnia poczęła szczerze pracować nad sobą i w krótkim czasie pozbyła się swej ciekawości na zawsze.

J. P.

PRZEŚLADOWCA OWADÓW.

(Dalszy ciąg)

I wzięwszy chłopca za rękę pociągnęła za sobą.

— Niech mnie pani puści, już nic mrówkom złego nie zrobię — prosił Cześ po chwili, i wysunąwszy rękę,

rad z odzyskanej swobody, na wszystkie strony biegać i rozglądać się zaczął.

Znowu coś Czesia zatrzymało — zauważyła po chwili nauczycielka.

Emilka obejrzała się za bratem; ten stał nad małym rowkiem z miną bohatera; kapelusz zsunął mu się na tył głowy, włosy rozrzuciły nad czołem.

— Zdusiłem go — zawołał, patrząc zwycięzko przed siebie.

— Kogo?

— Ot, tego szkaradnego żuka — rzekł wskazując końcem buta na chrabąszcza.

— Oh! ty niedobry chłopcze — zawołała Emilka, odwracając się ze wstrętem.

— Czy ci nie żal odbierać biednemu stworzeniu życia, którego nie możesz mu wrócić? Niedobry jesteś! niepoprawny. Rodzice dosyć się tobą martwią — mówiła z niezadowoleniem nauczycielka. — Ot i ten motyl, któregoś sobie przypiął do kapelusza, tak swobodnie latał z kwiatka na kwiatek, a ty go zamęczyłeś.

— O, przepraszam panią, męczenia tu żadnego nie było. Mam sposób, który jak piorun na miejscu zabija motyla.

— A ta glista ziemna, coś ją wczoraj porąbał, cóż ci zawiniła?

— Wstrętna była, okropnie brzydka, proszę pani, po co ona z pod ziemi wylazła?

— Wielką rzeczywiście popełniła zbrodnię, pragnęła odetchnąć świeżem powietrzem, zobaczyć słońce, może pierwszy raz w życiu. I na swoje nieszczęście spotkała się z muchokatem — mówiła nadąsana na brata Emilka.

— Tylko proszę, nie mieszaj się do mnie. Przecież i Jędrzej, nasz służący, truje muchy, zabija pająki i poluje na myszy, a jednak wszyscy go mają za dobrego człowieka i nikt mu przezwisk nie nadaje.

— O to wcale co innego. Jędrzej musi dom utrzymywać w porządku i niszczyć wszelkie stworzenia, które go zanieczyszczają. W polu zaś, w ogrodzie, na gościńcu, nikomu one nie szkodzą i można pozwolić żyć im spokojnie.

— Już ja się poprawię, proszę pani — mówił Cześ, idąc ze spuszczoną głową.

Ale pani Drozdowska nie miała tej nadziei; tak często upominała Czesia, on przyrzekał poprawę i znów ten sam czyn popełniał.

Rozmyślnie zabijał nieszkodzące nikomu stworzonka, tak jak teraz, idąc zawstydzony obok niej, ścinał uderzeniem laseczki bławaty i jaskry, rosnące przy drodze. Dziwne to było przyzwyczajenie, ta chęć niszczenia; gdy Czesio spostrzegał grzybek rosnący wśród trawnika, spieszył jakby ze spełnieniem pożytecznego czynu i trącał go nogą. Nieraz nawet przychodziła mu ochota zrzucić końcem laski gniazdko dojrzone wśród gałęzi, choć od tego się już wstrzymywał, a nawet oduczył swego towarzysza zabaw, Jaśka, syna ogrodnika.

W parę dni po owej przechadzce, Cześ i Emilka zauważyli, że matka ich od jakiegoś czasu dłużej przebywała w swojej apteczce. Był to pokoik położony w końcu domu, gdzie stała szafa z rozmaitemi lekarstwami. Tam zwykle w rannych godzinach schodziły się kobiety

wiejskie, jeżeli miały kogo w domu chorego, prosić o radę i leki. Wstęp do tego pokoju był zwykle dzieciom wzbroniony, a w tym czasie przestrzegano jeszcze pilniej tego zakazu. Mama, po każdym przebywaniu w apteczce, nim się zbliżyła do dzieci, myła ręce i cała przejęta była jakimś silnym zapachem.

Dzieci spostrzegły także, że częściej teraz przed kościołem wiejski, który niedaleko od dworu wznosił się na górze, otoczony lipami, zatrzymywał się orszak ludzi, niosący małą trumienkę, że w niezwykłych godzinach smutne dźwięki dzwonów rozchodziły się w około, a na pobliskim cmentarzu wśród zieleni i białych krzyżów coraz to nowe, ciemne przybywały mogilki.

Silna epidemia wybuchnęła na wsi, i pomimo ratunku zabierała liczne ofiary pomiędzy dziećmi. Pani Drodowska w czasie spacerów widocznie unikała zbliżania się do chat wiejskich i odmówiła prośbie Emilki, gdy ta miała ochotę odwiedzić dawną sługę, mieszkającą na wsi.

Jednego dnia Cześ i Emilka byli sami w ogrodzie, kiedy przybiegła tam żona ogrodnika, płacząc i żaląc się przed mężem, że dzieciom jej, które od kilku już dni zaniemogły, pogorszyło się bardzo, osobliwie Jasiek wydawał się jej niebezpiecznie chory.

Ogrodnik zmartwiony pobiegł zaraz do domu, a pozostali przy robocie ludzie, zaczęli sobie opowiadać, ile to już ofiar ta choroba zabrała i jak rzadko się zdarzało, by kto dotknięty nią wyzdrowiał.

Dzieci, stojące pod drzewem przysłuchiwały się tej rozmowie.

— I cóż ich tak boli, tych, co umrzeć mają? — zapytała smutnie Emilcia.

— A któż to wie, panienko! Najprzód trzęsą się od zimna, później dostają gorączki, kaszlu i po kilku dniach już ich niema na świecie.

Wtem dzieci usłyszały, że ich wołają na podwieczorek; pobiegły do domu, zasmucone tem co usłyszały.

Nazajutrz zaczęły szukać ogrodnika, żeby się o zdrowiu Jaśka dowiedzieć, ale nigdzie go nie było, a pomocnik jego powiedział dzieciom, że tej nocy jeszcze Jasiek życie zakończył.

Wiadomość ta wielkie na dzieciach uczyniła wrażenie; straciły ochotę do zabawy, ale nikomu nie powiedziały dla czego, bo wiedziały, że w tym czasie wzbronione im było wdawać się w rozmowy ze spotykanymi ludźmi.

Gdy w parę dni później ujrzały zdaleka czarną chorągiew przed kościołem i poznały siwą głowę ogrodnika i dobrze im znaną żółtą chustkę jego żony, która szła ręce załamując, domyśliły się, że to pogrzeb biednego Jaśka i serdecznie się spłakały.

Mama, która często na dzieci z niepokojem spoglądała, dnia tego przy herbacie, zawołała Czesia, a przytrzymując rękę jego w swych dłoniach, zapytała, co mu jest, że tak mało zjadł kluseczek z serem, które mu zwykle dobrze smakują.

— Nie głodny jestem, mamusiu, jakoś mi zimno i nogi mnie bolą — odrzekł chłopiec.

— A to z czego, czy może biegałeś zanadto?

— Nie, mamu; nie miałem dziś ochoty do biegania.

— No to synku, połóż się wcześniej.

I zaprowadziwszy go do sypialnego pokoju, sama pomogła mu się rozebrać i położyła do łóżka. Gdy parę razy zakaszła, przyniosła mu ulubione przez dzieci lekarstwo, jajko z cukrem, polecając, by się dobrze nakrył i spokojnie leżał.

Służące w drugim pokoju, myśląc, że zapewne usnął, zaczęły nieuważnie szeptać między sobą:

— O jak to nasza pani zaraz się zafrasuje, że Czesiowi trochę zimno, już cała zmieniona. Ręce jej drżały, gdy za kłamkę brała.

— Cóż dziwnego — odrzekła druga — przecież wszystkie krosty od małego się zaczynają. Któż może wiedzieć, co będzie z naszym Czesiem.

— Ha, wszystko w ręku miłosiernego Boga.

Przerażenie ogarnęło Czesia. Więc być może, że i on dostał tej choroby, od której tyle dzieci pomarło? więc i jego zaniosą na cmentarz i już go nie będzie na tym miłym świecie, a tak by mu żal było go opuszczać.

Rozmowę służących przerwał powrót mamy, która za sobą drzwi zamknęła.

Cześ napił się słodkiego lekarstwa, a gdy rozgrzany usypiać zaczął, różne straszne obrazy we śnie mu się pojawiały: Zdawało mu się, że śpi na dużym błoni, a w około niego latają rozmaite owady, wielkie chrabąscze i polne koniki; nad niemi słońce świeci jasne i kwiaty kwitną w około.

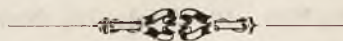
Wtem on się przebudził i wywijając długą laską, rozsiewał wkoło przestkach i spustoszenie, choć go wszystko głosem ludzkim o zmiłowanie prosiło. Znów po chwili on był dużą muchą, a podobny do niego mały okrutnik groził mu i życia chciał pozbawić.

Rzucał się Cześ, majaczył, zrywał noc całą, a gdy czasem oczy otworzył, widział nad sobą twarz matki, bladą i spłakaną.

Nad ranem zrobiło mu się lepiej, usnął spokojnie, a wezwany lekarz zapewnił, że choroba Czesia była tylko paroksyzmem febry, którą kilka proszków gorzkiej chinu usuną.

Miło było Czesiowi, gdy poznał, że wszyscy co go otaczają, są zupełnie uspokojeni co do jego zdrowia. Lekarz się nie mylił, gorączka nie wróciła, a za kilka dni Cześ z siostrą i nauczycielką znów wyszedł na przechadzkę.

(d. n.)



KWADRAT LITEROWY.

od Puszczyka z Pilawy dla Wichury.

a	a	a	a	a
b	c	e	e	k
k	k	l	l	r
s	s	s	s	s
t	t	u	y	y

Z rozrzuconych liter ułożyć 5 wyrazów, aby trzeci wyraz, oraz środkowy rząd pionowy złożył nazwisko współczesnego polskiego malarza. 1) Zwierzę ssące z rodziny wiewiórek. 2) Instrument muzyczny. 3) 4) Ptak błotny.

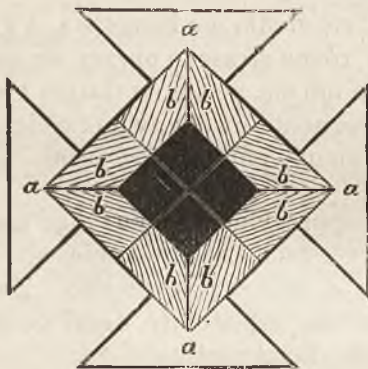
5) Miasteczko w Galicji, niszczone kilkakrotnie przez Tatarów i Wołochów.

SZARADA.

od Smoka dla Puszczyka z Pilawy.

Pierwsze z drugą: dar wielki, dar to niezrównany
Co każdemu stworzeniu od Boga jest dany,
Z jego pomocą znamy cudu świata tego,
I cieszyć się możemy światłem dnia jasnego.
Drugie z trzecim, to sługi do zdrady niezdolne,
Dzielące z panem walki i drogi mozolne,
Posłuszne jego woli, jako dziecko małe,
Szlachetne, w kształtach piękne, a w trudach wytrwałe.
Wszystko natomiast szukaj w rzek przejrzystej toni,
Wiedząc, że za zdobyczą bezustannie goni,
I choć w cierniopromiennych stawiają je rzędzie
Rad jest rybak, gdy w sieci sporo ich zdobędzie.

ŁAMIGŁÓWKA GEOMETRYCZNA.



Z oddzielnych części powyższej figury złożyć prostokąt podłużny.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 30.

Szarady: Jaś — min.

Łamigłówki:

- 1) Komar. 2) Oko. 3) Róża 4) Nansen. 5) Elba. 6) Nił.
7) Ufa. 8) Maj. 9) Efez. 10) Altaj. 11) Sudan. 12) Szpak.
13) Ilek.

Kornel Ujejski.

Kwadratu magicznego:

M o r s
O r a n
R a n o
S n o p

Skrzynka do listów.

Obszerny list Puszczyka z Pilawy czytaliśmy z zajęciem tem. większem, że widoczną w nim jest wrażliwość autora na piękno przyrody, oraz zamiłowanie z jakim oddawać się musi czytelniku arcydzieł naszego wieszczu, skoro tak trafnie przytaczać umie ustępy z Pana Tadeusza. Dalecy też jesteśmy od powtórzenia dwuwierszowej parafrazy, którą nas Puszczyk prawdziwie zabawił, a życząc mu jaknajwięcej przyjemności w dalszym ciągu wakacji, przesyłamy miłe pozdrowienia.

Nietylko, że każdy z nas, równie nasza Świtezianka ma ulubione sobie kwiaty, lecz nawet całe narody wyrażały od dawna swe upodobania, przybraniem jakiegoś kwiatu lub rośliny za godło swoje z czem zazwyczaj łączy się legenda lub zdarzenie historyczne. Tak więc wszystkie pomniki starożytnego Egiptu, zdobi kwiat lotosu, symbol wieczności, święty dla krainy nadnilowej. Ściśle związany z dziejami królestwa francuskiego, a mianowicie domem Burbonów jest znowu kwiat białej lilii, bowiem według podania Ludwik Św. otrzymywał ją z rąk anioła. W historii angielskiej ważną rolę odgrywała róża, mianowicie w czasie wojen domowych, gdy dom Lancastrów przyjął za symbol różą białą, dom zaś Yorków, czerwoną. Na tarczy herbowej Szkocji widzimy nędzny osiet rosnący obficie w tymże kraju, podczas, gdy trójlistna gałązka zielonej koniczyny jest talizmanem Irlandczyków. Wreszcie chryzantemy czyli jastrunie są herbem Japonii.

Orłowi karpackiemu. Najdłuższą linię telegrafu podmorskiego założono właśnie w tym roku między Nowym Yorkiem a Brestem. Długość jej wynosi 3,250 mil, a ogólna waga drutów dochodząca 11,000 tonn, zajęła cztery wielkie okręty, które były czynne przy spuszczeniu jej na dno oceanu.

Słoniowi z Nubii Jaskółka niezadługo pewnie odpisze, rozstrzygając kwestyę marki transwaalskiej. Logogryf przejrzmy, tymczasem zaszyłamy pozdrowienia.

Nigdy nazbyt często nie odbieramy listów od miłej Wichury, zawsze je bowiem czytamy z przyjemnością, tem większą, że są z widocznem pisane staraniem, Jaskółka dotychczas cieszy się swobodą wiejską, prawdopodobnie jednak niedługo już powróci do grodu naszego, jakkolwiek i jej równie jak Wichurze miło bardzo patrzeć na rozwijające się nowe kwiatki i dojrzewające owoce. Łamigłówki i zagadki przejrzmy; rozwiązania dobre.

Nie wątpimy, że przygody w drodze jakich doznawał Aleksander W. nie należały do przyjemności, a podobne chwile pamięta się długo, o tem wiemy z własnego doświadczenia. Życzymy też, by następne wyjazdy nie przedstawiały tak mało pożądanym urozmaiceń. Łamigłówki otrzymaliśmy i przejrzmy.

Zadanie konkursowe Jastrzębia otrzymaliśmy wraz z dobrem rozwiązaniem łamigłówki. Szkoda, że ułożony przez niego arytmogryf nie może być drukowanym, niedawno bowiem podobny był już umieszczony w Wieczorach. Niechże to jednak nie zniechęca Jastrzębia od dalszych prób, które może szczęśliwsze będą.

Zwracamy uwagę niektórych korespondentów naszych, że przysłówek przeczenia *nie* powinien być oddzielnie pisany przy czasownikach, łączy się zaś z przymiotnikami i t. p.

Własnego układu łamigłówki nadesłali: Orzeł karpacki, Smok, Marychna i Zochna, Zygmunt L., Lolo i Gwiazdka. Dobre zaś rozwiązania: Giermek, Ułanka, Prymulka, Sokół, Szczygiełek. T. Ch. i Żniwiarz.

MARVA MATUSZEWSKA.

Przełożona pensyi 6-o klasowej żeńskiej z klasą wstępną w Warszawie przy ul. Leszno Nr. 28 zawiadamia, iż zapisy na rok szkolny 1898/9 uczennice tak przychodnich jak pensyonarek, na warunkach przystępnych, odbywają się codziennie od 11-ej do 5-ej. Kurs nauk zacznie się 1-go września 1898 r.